Lwów, 11. Lipca — Nr 82. — Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. — półroczna 3 Złr. — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkie go rodzaju przyjmują się za opłata od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po 1 1/2 kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bioro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*.

DZIWO - ŻONA.

Powieść spółczesna

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

III.

(Ciąg dalszy).

Ten komin marmurowy ogromny, obstawiony axamitnemi sprzętami do koła, w bokach szeroki i pnący się szpiczasto do góry, był miejscem najwięcej uderzającem w oczy i dominującem w salonie. Grupa ta nawet była dość malownicza w swoim sposobie, bo czarny marmur, mający zawsze coś uroczystego dla oka, tem uroczystszą przybierał postać pod cieniem karmazynowych firanek, i tem poważniej odbijał od miękkich axamitów, otaczających jego podnóże. Na jego czarnej, połyskującej powierzchni tem wyraziściej lśniły się dwa herby, odlane z bronzu, i tem promienniej błyszczała nad nim złota na jego głowie osadzona korona. Wszakże wszystko to było-by wyglądało jeszcze daleko piękniej i uroczyściej, gdyby ta korona była sięgała samego stropu i nic już nad nią się wznosiło. Tymczasem właśnie nad tą koroną zawieszony był jeszcze sprzęt jeden, któremu może z prawa należało się najwyższe miejsce w salonie, ale któren pomimo to w tej wysokości i sam tracił na swoim blasku i ciężarem swoim tak silnie się przeważał nad lekkie ściany owego pięknego komina, że zdawał się być strasznym mieczem Damoklesa, zawieszonym nad lśniącą na cały salon koroną. A sprzętem tym był ogromny zegar bronzowy, dziwnie misternej roboty. Jego rysunek cały wyglądał niby jak kościół, ale kościół taki, jakiego zapewne nigdzie nie masz na świecie. Po obudwóch bowiem stronach głównej budowy widać było mnóstwo różnej wielkości wieżyczek, które pietrząc się nad sobą, przypominały wieże tumów gotyckich. Pomiędzy niemi wznosiła się środkowa budowa, niby nawa tego kościoła, ale ta była tak niestosunkowa gruba i tak baniasta u góry, że okrągłością swoją przenosiła wszystkie banie samego Bizancyum. A na tej bani zamiast kopuł i krzyżów stał posąg Chrystusa Pana, opartego lewą ręką na krzyżu, a prawą podnoszącego w powietrze i zdającego się kazać do licznie przed sobą zgromadzonego ludu. Na miejscu drzwi głównych, prowadzących do nawy kościoła, zamieszczona była tarcza zegaru; ale ta tarcza była już całkiem sczerniała, cyfry na niej pozacierane zupełnie i zaledwie jeszcze dobre oko mogło dojrzeć skazówki. Pomimo to jednak zegar ten był naciągany codziennie, szedł regularnie i lubo dla siebie tylko, jednak dobrze jeszcze odmieniał czas powoli przemijający. Zegar ten nigdy, nawet za najświetniejszych czasów swojego zdrowia, nie wybijał dzwonkiem upływających godzin, tylko na każdą godzinę odegrywał pieśń inną na swoich organach, tak że mieszkańcy tego domostwa po jego pieśniach tylko poznawali pory dnia i nocy. — Ale nielitościwy czas popsował po jednej jego pieśni wymowne. Do niedawna jeszcze jego organy odgrywały pieśń poranną o piątej z rana, dzwoniły jęczącym głosem na Anioł pański o godzinie siódmej wieczornej, wtórowały do pieśni: Kto się w opiekę, o godzinie dziesiątej, i grywały smutne Requiem o godzinie dwunastej. — Ale na dniu ósmym września przed trzema laty, jak powiadał siedzący pod bramą staruszek, zepsuły się na raz trzy pieśni, zegar umilkł na całą dobę i odtąd tylko o północy jeszcze grywa grobowym głosem przerażające Requiem. —

W tym salonie i przed tym kominem, w parę dni po wprowadzeniu się Kamila w dom państwa Sieniawskich, siedziała w fotelu bardzo podeszłego już wieku, lecz dziwnej przy tem powagi i wyniosłości staruszka. — Po przeciwnej zaś stronie na sofie, przeciągnięty przez nią na poprzek, leżał smukły i piękny młodzieniec, mający może najwięcej lat dziewiętnaście.

Staruszkę tę nie znał nikt zbliska na Sieniawszczyznie. Ale wiedziano o tem, że ona jest właścicielką tego starego domostwa, domyśliwano się że jest panią bardzo bogatą, bo ją widywano jeżdżącą w bardzo wysokiej karecie, utrzymywano, że jest bardzo nabożną, bo ją spotykano błądzącą po wszystkich kościołach, a xięży w czarnych zakonnych sukienkach, chodzących po jej dziedzińcu. A chociaż nie wiedziano z pewnością, czy jej ten tytuł przysługa, nazywano ją starościną i kłaniano jej się z uszanowaniem na całej Sieniawszczyznie, od szkarp aż do żydowskiej bóżnicy. I nie powinno to być dziwnem nikomu. Dostatek bowiem zawsze imponuje ubóstwu, a imponuje tem więcej, im mniej się troszczy o ludzi i im się nosi wynioślej, a najwięcej natenczas, kiedy się umie osłonić jakąś tajemniczością. A to wszystko łączyła w sobie i koło siebie starościna staruszka. Bo chociaż jej pałac był tak już podkopany z ulicy i tak zewnątrz obdarty, że zdawał się wisieć w powietrzu i być bardzo niedalekim zupełnej ruiny, jednk stał on jeszcze twardo na ziemi, mury miał

całkowite i był zawsze pałacem. O jej dostatku nie mógł nikt wątpić, bo wszyscy wiedzieli, że się żywi po pańsku, trzyma wszystkie dawne sługi jak za najlepszych czasów i jeździ własną karetą. Że się nosiła wyniośle i że się wcale nie troszczyła o ludzi przynajmniej tych, którzy mieszkali na Sieniawszczyźnie, doświadczyli wszyscy sąsiedzi, a że nikogo z obcych nie przypuszczała do siebie, nie brakło jej także na jakiejś mgle tajemnicy.

Przypatrzywszy się jej dokładnie i zbliska, potwierdzało się tylko to wszystko, co mówiono o niej na Sieniawszczyznie. Była to bowiem staruszka pomimo podeszłego już wieku dziwnie jeszcze wyciągnięta, sztywna. Czarna axamitna jej suknia dodawała jej wiele powagi, a bogate pierścienie na palcach i kilka sznurków wielkich pereł, spiętych staroświeckiej roboty brylantową agrafą i zawieszonych na szyi, świadczyły o jej rzeczywistym dostatku i tego dostatku dawności. Twarz jej była ściągła, babkowata i blado-żółtawego koloru, nos duży orli, oczy duże czarne, jeszcze do dziś dnia błyszczące, usta blade lecz silnie ściągnięte, a chociaż w całej tej twarzy w ogóle widać było aż nadto wiele dowodów dawnej niepospolitej piękności, jednak zniknęły z niej wszelkie ślady dawnego życia i charakteru. Twarz ta zdawała się być teraz zmazaną tablicą, na której przypadkowo zostały tylko dwa nie zmazane wyrazy: dumy i pogardy. To też z tego powodu cała postać starościny wyglądała raczej jak trup z grobowca wyjęty, niżeli jak żywa osoba, jak trup na połowę przegniły, któren wyszedł na świat pomiędzy ludzi, ażeby się temu światu przypatrzyć i przysłuchać, co też teraźniejsi ludzie mówią o jego dawnem życiu i zgonie. Szczególnie teraz czyniła ona takie wrażenie. Siedząc bowiem wyprostowana z wyciągniętemi przed siebie nogami i głową podniesioną do góry, swojemi dużemi błyszczącemi jak dwa próchna oczyma tak się nieruchomie wpatrzyła w przegiętego przed sobą na sofie młodzieńca, jak gdyby on był jej wzrokiem, jej oddechem i życiem.

Tymczasem młodzieniec ten, nie zważając wcale na nią, coraz wyżej podnoszącym się tonem czytał jej w głos jakiś Herbarz ogromny i tak się zdawał być tem czytaniem zajęty, jak gdyby się lada chwila spodziewał doczytać wyroku stanowiącego o jego śmierci lub życiu. I była to rzecz bardzo naturalna. Młodzieniec bowiem miał lat dziewiętnaście i z jego twarzy widać już było, że czego się tylko chwytał, chwytał się całem sercem i duszą. Był on wzrostu słusznego, wysmukłej i bardzo zgrabnej kibici a w jego całej postaci przebijała się przedewszystkiem otwarta duma i niepospolita wyniosłość. Ztąd chociaż tak młody, zdawał się mieć już pewny, ustalony charakter, któren, niewiadomo ażali tak samo ustalonym był w jego umyśle i sercu, ale głośno się odzywał z jego powierzchowności. A jego głowa zawsze wzniesiona do góry, jego oczy, poglądające na wszystko z wysoka i pewna dobitność i stanowczość w głosie, niepozwalały wątpić ani na chwilę, że człowiek ten czuje się w sobie i zna dobrze swoje prawdziwe lub urojone stanowisko pomiędzy ludźmi. W postawie jego było jeżeli nie coś rycerskiego, to przynajmniej coś junackiego. Jego ruchy były wprawdzie okrągłe i zgrabne, ale niemniej przeto dobitne. A czy stał, czy siedział, czy leżał, jego figura była zawsze tak ułożona, że ją można było malować. Na pierwszy rzut oka można go było posądzić, że ani na chwilę nie spuszcza siebie z oka i że zawsze pozuje. Lecz po bliższem przypatrzeniu się trzeba było porzucić to podejrzenie. Ruchy jego bowiem wszystkie były naturalne a jeżeli były przytem uderzająco zgrabne i cokolwiek wyniosłe, pochodziło to ztąd, że młodzieniec od dziecka bardzo wiele się bijał w pałasze i dzisiaj jeszcze wiele chwil wolnych przepędzał w sali Marego.

Twarz jego uderzała niepospolitą pięknością; rysy jej były obdłużne, cera blada cokolwiek lecz zdrowa, usta pięknie zarysowane i świeże, a nos duży, orli i oczy czarne, pełne bardzo ożywionego ognia i blasku, przy włosach ciemnych, zwijających się szklącemi kędziorami około szyi, nadawały jej charakter może nie całkiem wschodni, ale odróżniały ją dobitnie od jasnych twarzy słowiańskich. Wszakże przypatrzywszy się bliżej tej twarzy, znajdowało się w niej silnie uderzające podobieństwo do twarzy starościny. Nos zdawał się ten sam zupełnie, oczy rozróżniały się tylko wiekiem, a nawet w ściśnieniu ust i okrążającym je dumno-ironicznym uśmiechu okazywało się jawne pomiędzy temi obydwiema twarzami powinowactwo. Jakoż tak być było powinno. Młodzieniec ten bowiem był to pan Edmund, rodzony i najulubieńszy ze wszystkich wnuk starościny.

— „Ta Zebrzydowska,“ — czytał dalej pan Edmund, przewracając kartkę herbarza na drugą stronę, — „po dowodnem sprawdzeniu walecznej śmierci jej męża, weszła „w powtórne śluby małżeńskie. Mężem jej drugim był „jakiś Podgórzanin, Toporczyk, którego imienia nigdzie odszukać nie mogłem. Ale ten zaraz we cztery niedziele „po ślubie, że to był wielki junak swojego czasu, Tatary „ręką ściągał z jarczaków, podkowy łamał i dębowe talerze rozbijał o czoło, wyprawił się na jakichś węgierskich „łotrzyków, którzy podrapieżyli mu wioski i już poczęli mu „pod sam zamek podchodzić. I tam na tej wyprawie, poszedłszy z jednym silnym łotrem w zapasy, łotra tego „zadławił ale i sobie coś tak w trzewiach popsował, że go „już z tamtąd na rękach zaniesiono na zamek, gdzie umarł do trzeciej doby. Po tym Toporczyku urodził się „jednak syn w swoim czasie i rozumiano tak wszędzie, że „z niego będzie potężny filar nowo odrodzonej familii, bo „szły wielkie fortuny na niego i wszystko było po temu. „Ale snać nic nie musiało być z niego, bo nigdzie nic o „nim nie słychać. Jakoż na nim linia ta wyginęła do szczętu i na zawsze.“

— Wyginęła do szczętu i na zawsze! — powtórzyła starościna z głębokiem westchnieniem, — mój Boże! a tak wielkie spadły fortuny na niego i wszystko było po temu!

Na te słowa, wymówione z przyciskiem, pan Edmund spojrzał badawczem okiem na babkę. Lecz w tejże chwili wzrok swój odwrócił, a herbarz odrzucił na stronę i założywszy ręce na krzyż na piersiach, mocno się zamyślił. Tak siedzącemu ze spuszczonemi oczyma ku ziemi, przez długą chwilę przypatrywała się starościna staruszka. Lecz nakoniec, czy że jej żal się zrobiło zasmuconego młodzieńca, czy przez umyślną manjerę, przerwała milczenie i rzekła:

— Przepraszam ciebie, kochany Edmundzie, żem ci taką chmurę napędziła na czoło, ale nie moja to wina. Wina to losów srogich, które nad naszym rodem zawisły, wina mojego położenia i towarzyszących mojemu życiu okoliczności, wina nakoniec tej nieodgadnionej przyszłości, o którą drzeć muszę przed grobem.

— Ha zapewne! — zawołał na to młodzian, budząc się z zamyślenia, — ale cóż to wszystko pomoże?..

— Chociażby nie pomogło, — odpowiedziała babka z widocznem ukontentowaniem, że jej się udało rozmowę na ulubiony przedmiot naprowadzić, — to zawsze naszym obowiązkiem jest, przypominać to sobie codziennie. Bo przyszłość nasza jest to rzecz tak wielkiego znaczenia, że gdybyśmy nad nią całe dnie i noce myśleli, tobyśmy jeszcze niemogli powiedzieć, żeśmy jej czasu poświęcili za nadto. Ja przynajmniej nie wahała bym się przed nikim przyznać się do tego, że krom chwil, które poświęcam modlitwom, wszystkie inne oddaje myślom o tych losach, które Bóg zawiesił nad nami. A kiedy przypadkiem staną mi w pamięci te domy, które błyszcząc niegdyś w promiennej chwale, nie zostawiły dzisiaj na ziemi po sobie nic krom nazwiska swojego po starych xięgach, pierś mi się ściska, łzy stają w mych oczach i zdaje mi się, że już czas ten niedaleki, kiedy po nas także nie zostanie nic więcej. A wie przecież świat cały, czem byliśmy niegdyś i czem byliśmy do niedawna! Pradziad twój siedział na wielkim zamku, murowanym z ciosowego kamienia i otoczonym czterema wieżami. Dwanaście armat stało tam wciąż na lawetach, tysiąc sług zbrojnych kręciło się po krużgankach, sto gromad uginało przed nim kolana, a wszystkie wsie, które widział z swych okien, należały do niego. Był to król mały, który panował nad krajem, oddanym mu z łaski Boga i staranności rodziców. Dziad twój jeszcze jak mógł utrzymywał się przy dawnej chwale i dawnych dostatkach a chociaż pod jego nieopatrzną opieką zamek runął w połowie i wiele wsi poodpadało od niego, jednak były to więcej kary Boskie i nie z jego winy wyniknione nieszczęścia, a imię jego może się jeszcze bez wstydu pomieścić pomiędzy imionami pradziadów. Ale ojciec twój był to prawdziwy Podgórzanin Toporczyk: nie łamał on podków, nie rozbijał dębowych talerzy o czoło, nie wyprawiał się na łotrzyków, drapieżących po jego wioskach, ale dał sobie te wioski tak dobrze porujnować jak tamten i poszedłszy w niepotrzebne z niepotrzebnemi rzeczami zapasy....

— Babko! zawołał na to zrywając się z sofy młodzieniec.

— I poszedłszy z niepotrzebnemi rzeczami w zapasy, kończyła z zimną krwią starościna staruszka, — i łotrów nie podławił, i siebie zagubił. I umarł zostawiwszy syna niedorosłem chłopięciem. To chłopię wychowało się i wyrosło, jest już dziś prawie mężem, ma jeszcze nieobojętne fortuny i ma wszystko po temu. Ale czy to chłopię będzie potężnym filarem na nowo odrodzonej familii i podniesie do dawnej potęgi moc i sławę swych ojców; czy nie będzie nic z niego i zaginie z nim imię do szczętu i na zawsze? owóż wielkie pytanie, które chciała-bym koniecznie odgadnąć przed śmiercią, lecz zarazem drżę cała z bojaźni, ażebym go nie odgadła.

— Wiecznie i wiecznie to samo! — zawołał na to Edmund, wstając ze swego siedzenia i krzyżując niespokojnemi nogami komnatę. — I na cóż poruszać to drażliwe pytanie, kiedy go niepodobna odgadnąć?... Przed dwoma laty, — mówił on dalej, stając naprzeciw babki i opierając się prawą ręką o krawędź fotelu, — kiedy umarł mój ojciec i zbiegli się wierzyciele, i ja własnemi oczyma patrzałem na to, jak krajano moją ojcowiznę w kawały ażeby tych kruków nakarmić. Przysiągłem na kolanach przed jego obrazem, że gorliwością i pracą ojczystej fortunie dawną wielkość przywrócę, a cnotami i głową splendor imienia odświeżę. I to jest mojem postanowieniem do dziś dnia..... Z tą myślą kładę się do snu co wieczór, z nią wstaję co rana... ona też, wypisana wielkiemi zgłoskami na wysokim sztandarze, stoi zatknięta tam, gdziem powytykał wszystkie inne cele mojego życia... I że do niej dążyć będę wszystkiemi siłami, jest rzeczą tak pewną, że nie może być o niej wątpienia. Lecz czyli do tych celów dojdę i pokażę się światu zwycięzcą przy moich sztandarach, czy wśród drogi upadnę na siłach i zginę, to już nie odemnie, tylko od Boga samego zależy. Ja o sobie wcale nie wątpię, w przyszłość moją wierzę jak w Boga drugiego, i jestem przekonany w głębi mojego umysłu i serca, że wielkie przeznaczenie moje mnie minąć nie może. Lecz przy tem wszystkiem wcale nie zapieram się tego, że im więcej się zastanawiam nad wypełnieniem wszystkich tych obowiązków, które na mnie czekają, tem większemi masami gromadzą się przed moją wyobraźnią trudności, które będę miał do zwalczenia, tem widomiej przedstawia mi się moja małość dzisiejsza, tem mniejszym wydaje mi się punkt ten, z którego w tak daleką, tak trudną i wielką się podróż wybieram. Bo i jakżeż-to małym w istocie robią mnie czasy dzisiejsze i towarzyszące im obyczaje!... Jestem prostym szlachcicem...

— Panem jesteś... — przerwała babka.

— Panem jestem, — powtórzył Edmund, — więc dobrze. Lecz cóż za przywileje daje mi to państwo? Jakież ułatwienia przysposabia mi ono na której-kolwiek z dróg życia? Czy przez to nie tak samo od abecadła musiałem rozpoczynać nauki jak syn Maćka lub Bartka? Czy nie tak samo będę musiał każdą poczynać karyerę jak pan popowicz lub podstaroście? Czy nie tak samo będę musiał pracować na mojej odziedziczonej roli jak pan Kutasiński na świeżo nabytej? Czy chcąc robić pieniądze, nie będę musiał brodzić po błocie jarmarcznem, kłócić się ze żydami, koniom w zęby a wołom...

— Pfe! panie Edmundzie, — przerwała babka.

— A zapewne że pfe! — odrzucił prędko młodzieniec, ale owóż są rzeczy, które mnie gryzą i martwią i spokoju nie dają. Bo to łatwo było tym wszystkim, którzy się rodzili na zamkach wysokich, dziedziczyli okrągłe fortuny, pierwszy raz w pole wychodzili na czele swoich własnych chorągwi a powróciwszy, zastawali zachowane dla siebie krzesła w senacie dla odpoczynku, a intratne starostwa na odszkodzenie strat poniesionych dla kraju, łatwo było tym wszystkim piastować w całości dawną ojców potęgę i sławę. Ale jam się urodził w ruinie starego, szlacheckiego dworzyska, odziedziczę kiedyś kilkanaście zadłużonych wiosek z obdartemi strzechami, a pierwszem mojem wystąpieniem na scenę świata było to, że mnie wepchnięto pomiędzy zgraję szkolnych pędraków, z których jeden na samym wstępie zabłoconą ręką w twarz mnie uderzył i za to grzmiącemi od wszystkich kolegów obsypany był oklaskami! Ta ręka zabłocona, jak gdyby widmo jakie, stoi mi wciąż przed oczyma i nietylko mi się to zdaje, ale jestem przekonany w głębi mej duszy, że taką rękę zbłoconą będę zdybywał na każdej drodze mojego życia, bo takich rąk teraz coraz więcej się mnoży i z każdym dniem stają się śmielsze i zuchwalsze. (D. c. n.)

Jest Niebo.

Jest niebo, bo są smutni i strapieni srodze,
Jest niebo, bo są w mękach Łazarze weseli....
Smutni, strapieni, w duchu cierpiący anieli,
Do nieba wiedzie życie po cierniowej drodze.

Jest niebo, bo są nadzy w żywota śreżodze,
I co prześladowanie na siebie przyjęli,
Jest niebo dla łaknących, aby nie łaknęli,
Dla opuszczonych, aby nie truchleli w trwodze.

Jest niebo zmiłowania, łaski i nagrody,
Jest niebo ukojenia, bo jest żal głęboki,
I jest niebo pokoju, o! bo są zawody!

Czem los nieprzebłagany, i srogie wyroki,
Czem w obec nieba ucisk i bolesne straty,
Jeśli nie wieszczby przyszłej w niebiesiech zapłaty?!

J. Z.

Niewola.

— »Chcę odejść.»— «I na długo?»—«Nie wiem moja droga;
Chcę odejść.» — «Bardzo proszę — pozwól tylko chwilę,«
— «Ach, z tobą i godziny płyną mi tak mile.»
— «Bądź zdrów» — »O, moja luba, jakażeś ty sroga!»

— «Odchodzę.»— «Kiedy wrócisz?— «Czas jest w ręku Boga;
Odchodzę.» — «Do widzenia!» — «Odejść nie w mej sile,
Szczęśliwi kochankowie kwiatów, pstre motyle,
Którym w roskoszy wolność pozostała błoga.»

— »I cóż cię trzyma?» —«Oczy twoje mnie niewolą.»
— «Nie patrzę.»—«Głos twój, droga, wstrzymuje w zapędzie.«
— «Nie mówię.« —«Wdzięków twoich czary mnie okolą!«

— «Uciekam.« — »Obraz duszy twojej zemną będzie;
O, mój aniele, wola twoja moją wolą,
Rozkazuj, ja cię słuchać muszę zawsze, wszędzie.«

WISIELEC.

Ktokolwiek czytał chociażby z nie wielką uwagą powieść autora Listopada o *Rycerzu Lizdejce*, uderzyła go zapewne owa sprzeczność w charakterze Kniazia Daniela Dorohostajskiego, który przez dwa tomy wystawiany jako człowiek gwałtowny, nadzwyczajnie dumny, zapamiętale odważny i aż przesądnie słowny, używa w trzecim tomie na zgubę swoich nieprzyjaciół środków, tchórzom właściwych, to jest obłudy, spokojnie obmyślanego udawania, pokory i podstępu. Jest to zaiste psychologiczna nieprawda, ale cóż począć, kiedy jest prawdą historyczną? Wszakci autor Listopada znalazł w archiwum ołyckiem relacyą naocznego świadka o tym wypadku.

A nieprawda tylko potrzebuje być prawdopodobną.

Nie godzi się posądzać o zmyślenie (zwłaszcza, iż tą razą zmyślenie nie byłoby wcale artystycznem) autora sumiennego, który powagę i siłę *obyczajowości* przekłada nad moc i jednostajność prawa pisanego, który w tym spisanem prawie, dającem jedyną stałą miarę do ocenienia uczynków, nietylko niewidzi postępu cywilizacyi, ale nadto zdaje się z lekka tęschnić, jakoby za rozkoszami utraconego raju, za owemi patryarchalnemi nagrodami i potępieniami, niemającemi innej podstawy, nad obyczajowość narodu, która znowu ma być najsilniejszą podstawą wszelkiej społeczności. Jakkolwiek z woluminów legum wnosićby można iż nawet w tej rehabilitowanej *) przez autora Listopada przeszłości, starano się sądom ludzkim nadać stalsze i bardziej określne podstawy, aby zapobiedz dowolnościom przybierającym bądź jakie pokrywki; jednakowoż ponieważ ro-

*) Jest to wyraz modny w literaturze dzisiejszej. Henryk Rzewuski puścił go między publiczność niby glistę na haczku od wędki. Michał Grabowski pochwycił pierwszy za ten przysmaczek i przeżuwa go odtąd niezmordowanie z prawdziwym apetytem i z widoczną delektacyą.

zum ludzki jest mdły i niemogący podołać wszelkim wątpliwościom, bezpieczniej jest zawsze nie ufać mu tylko wtedy, kiedy usiłuje dowieść, iż słaby jest i nieudolny. Jakoż rzeczywiście na to jedno tylko zdaje się jeszcze być potrzebny.

Jednem słowem bezpieczniej jest wierzyć.

Więc w archiwum ołyckiem znajdowała się relacya naocznego świadka.

Broń Boże także posądzać naocznego świadka o zmyślenie, chociażby nawet w najchwalebniejszym zamiarze upośledzenia polskich dyssydentów i wyokazania do jakiej zapamiętałości doprowadzić może duch rozkiełzany. Bo podejrzywanie takowe wymagałoby historycznego krytycyzmu, który poprzestając na czysto rozumowych wywodach niepospolicie traci *niedowiarstwem*. A mamy już i w literaturze naszej nie jeden dowód n. p. w Zbigniewie Oleśnickim iż łaskawy stwórca dał nam obok rozumu wolę, aby nam wolno było uniknąć niebespieczeństw rozumu. Cóż dopiero wspomniawszy na to światło zbawienne, nie rozumne, bo za obrębami rozumu leżące, a które wszelako ma być przewodnikiem istót rozumnych!

Bezpieczniej zawsze jest wierzyć. Zatem naoczny świadek nie zmyślił relacyi o upadku rodu Dorohostajskich.

Nie pozostaje nam jak tylko szczerze żałować owych nieodżałowanych pozostałości piśmiennych, przekazujących potomnym różne najciekawsze zdarzenia, o których nic nie wiemy, bo zamykające je rękopisy częścią zginęły, częścią zostały zniszczone przez klęski publiczne lub niedbałość pojedynczych właścicieli. Jakoż i owa relacya naocznego świadka nieszczęściem nie wiedzieć gdzie się podziała. — Przynajmniej autor Listopada ją widział i zrobił już z niej publiczny użytek. Ale tych nieocenionych skarbów szkoda największa, których nikt jeszcze nie widział, które przepadają na wieki bez nauki i przestrogi. Przodkowie nasi, chcąc nam zapewne srogiego żalu oszczędzić, nie tylko przechowywali troskliwie zapiski swoje w archiwach domowych i klasztornych, ale nadto w chwilach grożącego niebezpieczeństwa zakopywali je w piwnicach, zamurowywali w ścianach swych zamków i zabezpieczali jak mogli. Gańże teraz wnuków iż stare rozwalają mury! Jestto tylko naukowa ciekawość!

Jednakowoż poszukiwania te rozmyślne nie mają zwykle innych następstw jak nową gorzelnię lub stodołę, a wynalazki winniśmy najczęściej przypadkom.

I mnie się zdarzył tego rodzaju przypadek.

Było to bardzo niedawno bo w maju lub początkach czerwca roku zeszłego. Dojeżdżałem właśnie do Sądowej Wiśni. Słońce nachylało ku pościeli głowę na pół już senną, w pobliskich krzakach słowik nastrajał gardziołko urywanemi od czasu do czasu akordami, sposobiąc się do wieczornej modlitwy; po wzgórzach lśniących murawą, krówki z głowami podniesionemi zdawały się czegoś oczekiwać niespokojnie, nie wiem czy zapowiadanej pieśni słowika, czy znaku pasterza aby wracały do domu? Pastuch ociągał się jeszcze, bo przebierając palcami na fujarze wydmuchiwał z piersi najobojętniejszej jak najrzewniejsze kwilenia. — Upojony temi czarami byłem jakby pod wpływem niektórych dzisiejszych magnetyzerów literackich, którzy nam zabraniają myśleć, aby czuć tylko. Więc nie myślałem, nic a nic. Nie mów złośliwy szyderco jakoby stan taki był niemocą moralną, stanem otrętwiałości bałwaniej! Bo też czułem! co czułem?

Nie ze mną trzeba być, lecz we mnie! Aby powiedzieć co czułem, potrzeba wiedzieć. Aby zaś wiedzieć potrzeba zastanowić się nad uczuciami, potrzeba myśleć. Ja zaś tyle się naczytałem książek wyszłych z pod katolickich tłoczni w Krakowie, iż zaczynam nie żartem lękać się myślenia, a nawet doznałem (chociaż niegodny grzesznik nie przypisuję tego cudowi), iż daleko przyjemniej jest wylęgać się w międziutkim puszku uczucia wierzącego. Jestto dla duszy błogość anielska, wyrównywająca lazarońskiemu *dolce far niente*.

Kto spi nie grzeszy. Ale spać ciągle nie można; to sęk! Umieć więc tak rozmarzyć duszę, ażeby spała choć ciało czuwa, jestto zachować ją od zepsucia, właśnie jak się zachowuje mięso solą i dymem.

Wtedy trudności życia pokonują się bez oporu, przygody ziemskie... W tym szturknęło koło o kamień, o mało nie wyleciałem z powozu i spostrzegłem na pagórku niezbyt odległym, po lewej stronie drogi kilkunastu wieśniaków, stojących z rydlami i drągami obok leżącego na ziemi kamiennego krzyża. Otóż są skutki przebudzenia duszy! Ciekawość drogą do piekła. Przecież ciekawość przemogła, wysiadłem i zbliżywszy się do stojących:

— Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!

— Na wieki wieków!

— Stary to musi być krzyż, bo cały zczerniał i gęsto mchem porósł?

— Oj! co stary, to stary! Jegomość. Mój ojciec mieli ośmdziesiąt i cztery lat jak umierali, a jest już więcej dwadzieścia lat jak umarli na samą Najświętszą Pannę gromniczną a i oni nie pamiętali kiedy ten krzyż stawiano. Jakżesz nie stary dodał drugi, kiedy płytę kamienną na której stał wcisnął do ziemi i tak pochylił, iż byłby się już powalił gdybyśmy oto nie byli przyszli poratować go. (D.c.n.)

Towarzystwo gospodarskie.

(Dokończenie.)

Tak pojmuje posłannictwo stowarzyszeń naród pod tym względem klasyczny, Anglicy, ci sami Anglicy, których siły, zasoby, czynność, praca nie do jednego wyjątkowo skierowane wydziału, którzy nietylko jedno rolnictwo

pielęgnują i wydoskonalają, ale którzy swoje siły, zasoby, fundusze, wszytkie władze umysłowe i moralne, na wsze strony, na wszystkie dzielnice wiedzy i przemysłowości ludzkiej rozpierzchnęli, rozsprzędli, że tak powiem. A w każdym wydziale, w każdej odnodze, gałęzi nauk, przemysłu, pracy, nieledwie wszystkie inne narody przeszli i wyprzedzili. Zacząwszy od wielkich pisarzy, poetów, astronomów i innych uczonych, i przechodząc wszytkie stopnie i wszystkie klasy, aż do prostego wyrobnika, wszędzie Anglicy ludzkości dostarczyli przewodników i wzorowych twórców. Niemasz jednej gałęzi nauk ścisłych, którąby w Anglii leżała odłogiem, lub była zaniedbana; wszystkie wydziały pracy i przemysłowości ludzkiej najbardziej w Anglii wydoskonalone.

Porównywając pojętność i bystrość umysłową Anglików i pojedyńczo ich porónywając z temiż przymiotami Polaków, każdy bezstronny znawca ludzi przyzna Polakom wyższość pod względem ruchliwości i bystrości umysłu nad Anglikami. Te dary przyrodzenia: pojętność i żywość umysłu szczodrze Polacy z rąk matki natury otrzymali; w towarzystwie w dyspucie, obok Polaka najczęściej się Anglik gapiem wydaje. A czemuż w czynności, w życiu, w rezultacie, zupełnie jest przeciwnie? Tam Polak okazuje się niedołężnym leniwcem, niewytrwałym i lekkomyślnym, każdą rzecz popsuje, żadnej rzeczy dokładnie nie umie; — wszystkiego od cudzoziemców uczyć się musi. — Pierwszą przyczyną jest: brak siły duchowej, brak hartu duszy, brak męzkości, stałości, wytrwałości; z tej zaś miękkości i słabości charakteru, wyradza się zupełnie naturalnym porządkiem lekkomyślność, powierzchowność, brak gruntowności, niechęć do pracy, a następnie, zupełny upadek moralny. — W tym upadku moralnym żyjąc, nie możemy żadnego zbiorowego dzieła doprowadzić do końca, bo jeżeli się ku jakim celom zawiążemy w towarzystwo, to przez zebranie się w kupę potęgujemy, do kwadratu podnosimy, pierwiastek ujemny duchowy, a tem jest słabość charakteru, niestałość, niewytrwałość, lekkomyślność i lenistwo. Pojedyńcze te wady i ułomności udzielają się od jednych drugim, w stowarzyszeniach zamiast zniknąć wzrastają, i jak powiedziałem spotęgowane te władze piekielne w stowarzyszeniach, przyprowadzają do upadku najkorzystniejsze przedsięwzięcia.

Jeżeli sie zastanowimy, dla czego Anglicy tak są dzielni, tak są praktyczni, tak każde przedsięwzięcie z zupełnie dobrym skutkiem przeprowadzić umieją; dla czego Anglicy rozstrzeliwszy swoje siły na całą, że tak powiem, kulę ziemską, na wszystkie części świata, na wszystkie przedsięwzięcia i zatrudnienia, jako to: marynarkę, handel, rękodzieła, mechanikę, górnictwo, rolnictwo i t. d., wszędzie wszystkiemu nietylko podołać zdołają, ale wszedzie pierwsze zajmują miejsce; dla czego wystarczy im czas, siły, pieniądze, na te wszystkie zatrudnienia; — to zawsze jednę i tę samą znajdziemy kardynalną przyczynę, że Anglicy umieją się stowarzyszać, to jest: umieją skupiać swoje siły, swoje pieniądze, swój czas, swój rozum, ku jednemu celowi, którego najświęciej dopełniają. Duch stowarzyszeń nadaje im tę dzielność; a ten duch składa się z najlepszej cząstki duchowej, którą każde indywiduum w ofierze dla wspólnego celu przynosi. —Każdy, a przynajmniej większa część, przynosi pracę, wytrwałość, stałość, cierpliwość, a wreście poświęcenie funduszów. — W naszych stowarzyszeniach dzieje się przeciwnie; tam mniejszość ożywiona duchem stowarzyszenia i chcąca dopełnić celów stowarzyszenia, upada pod ciężarem odrętwiałości, lenistwa i niestałości ogółu. Napróżno założyciele towarzystwa podtrzymują całą siłą swej duszy stowarzyszenie; odrętwiałość, bezduszność ogółu, jak Alp gniecie ich ku upadkowi. Napróżno ta garstka wybranych szamoce się, wysila, ażeby w tę masę bezwładną i leniwą wlać ducha ożywczego. Niedługo zabraknie jej sił, przemoże ta bierna masa bezwładna i najczynniejsi, najwytrwalsi pracownicy ulegną i stowarzyszenie upadnie. Dla tej więc moralnej, kardynalnej niedołężności naszej, nietylko żadne stowarzyszenie utrzymać się nie może, ale dla tej samej przyczyny nie mamy nigdy czasu, nigdy sił, nigdy pieniędzy, ani żadnych innych środków do dopięcia naszych celów. — Jesteśmy Lazaronami wśród narodów europejskich. Włochy, w podobnem do nas położeniu zostające, szczególniej północne Włochy, w wszystkich oddziałach nauk, przemysłu, handlu i rękodzieł o wiele nas przewyższają. — To też stowarzyszenia ku rozmaitym celom, czy naukowym, czy przemysłowym, istnieją we Włoszech i błogie skutki na cały kraj wywierają. Nie wymawiajmy się przeto niemożnością i zewnętrznemi przeszkodami, bo największa przeszkoda i niemożność leży w upadku ducha naszego, w słabości charakteru naszego.

Zdania powyższe wyrzekł jeden z namienitych pisarzów mówiąc o stowarzyszeniach w Wielkiem Księstwie Poznańskiem. Przytoczyliśmy je tutaj jako dające się w zupełności do naszych stowarzyszeń zastósować. Kto pilnie przypatrywał się galicyjskiemu towarzystwu gospodarskiemu, ten przyzna, iż dotąd niedość odpowiedziało oczekiwaniom słusznym. Zamiast coby miało coraz więcej wzbudzać interesu w rolnikach, ciż co roku prawie są obojętniejsi. Wystawy początkowe nierównie świetniejsze, dzisiaj stają się już niemal formalnością. Jedni tylko mechanicy wytrwali są w swych usiłowaniach. Dawniej wszyscy prawie członkowie towarzystwa zjeżdżali się na posiedzenia półroczne, dziś chyba ci tylko, co są bliżsi Lwowa, lub co przypadkiem wtenczas we Lwowie bawią. Tak rozległy kraj rolniczy jak Galicya nie mógł zebrać dostatecznego funduszu na wzorowe gospodarstwo i szkołę agronomiczną. Tymczasowie drewnianą szkółkę stawiać muszą, bo niema z czego wyprowadzić murowanej. Pomimo przyrzeczeń, niezawodnie wiele jeszcze minie czasu, nim otworzyć będzie można szkołę agronomiczną, a jeżli otworzą ją, toć wege-

tować jedynie przez dłuższy czas będzie, bo niema ani dostatecznego funduszu, ani potrzebnych gmachów. Towarzystwo gospodarskie lwowskie, nie licząc członków urzędujących jedynie z obywatelskiej gorliwości, członków honorowych zarządu, nie znalazło jeszcze ani jednego w zawodzie agronomicznym specyalnie i odpowiednio do dzisiejszego za granicą stanu rolnictwa wykształconego męża, któryby wcielony do składu zarządu mógł pod względem naukowo-gospodarskim reprezentować towarzystwo i członkom chcącym się zainformować dawać potrzebne objaśnienia. Nim w artykułach dalszych dotkniemy tych kwestyj szczegółowo, przytoczymy co powyżej cytowany pisarz mówi przy końcu swej rozprawy o stowarzyszeniach w Poznańskiem. Żywcem bowiem do nas to odnieść można:

W całej Europie, Ameryce, stowarzyszenia są najdzielniejszą dźwignią postępu, są niejako planetami na horyzoncie oświaty, są ogniskiem zapału, pracy i zbiorowego rozumu; u nas przez jakiś zgubny fatalizm stały się właśnie ujemną władzą. Co tylko jest w indywiduach dzielności, rozumu, to się ściera, marnuje i na bezowocnych kończy wysileniach, skoro te osoby powołane do kilku lub kilkunastu różnorodnych stowarzyszeń, cały swój czas, całą siłę charakteru, cały rozum i pracę, do samego szczętu wyczerpnąć muszą, aby tę bezwładną (moles) masę w jakimkolwiek ruchu utrzymać, aby swojem własnem wysileniem zastąpić ten brak życia, brak poświęcenia się dla dobra powszechnego, brak zamiłowania oświaty i pracy inteligencyjnej lub materyalnej. O stokroć w takim razie lepiej pozostawić te indywidua pracowite, oświecone, wytrwałe do końca w przedsięwzięciach na uboczu pojedyńczo, aby na drodze prywatnej sami działali, aniżeli zawięzywać towarzystwa i przeciężyć ich siły całem brzemieniem, które towarzystwo wspólnemi siłami dźwigać powinno. Skuteczność i dobry wpływ towarzystw tak poszedł u nas w dyskredyt, że razem z zawiązaniem jakiego towarzystwa rodzi się zarazem zwątpienie, że towarzystwo nowo zawiązane zamierzonych celów niedoprowadzi do końca; zaraz wróżą wszyscy że po niejakim czasie towarzystwo upadnie i rozwiąże się.

Rozmaitość.

* **Dziennika paryskiego „la Presse“** drukowano na początku tego roku 24,876 egzemplarzy. Przy końcu maja liczba ta wzrosła do 35,811, przy końcu czerwca do 38,000. Druk tak ogromnej liczby uskuteczniony bywa w dwu godzinach. Składają ten dziennik cztery razy i na czterech pospiesznych prasach drukują. Tym tylko sposobem mogą w tak krótkim czasie tak ogromną dostarczyć liczbę egzemplarzy.

* **W sławnych kopalniach Minnisota**, w okręgu Oktonago znaleziono tego roku kawał czystej miedzi, ważący 150 tonów (3000 cetnarów) wartości 200,000 złr. k.m. Tylko w kopalniach zwanych North-Amerikan-Mine, razu jednego znaleźli byli dawniej jeszcze większy kawał miedzi, bo ważący 212 tonów.

* **Rewolucya kobiet.** Z Wisconsin donoszą, iż w Baraboa dnia 23 maja zebrała się znaczna liczba kobiet, należących do towarzystwa wstrzemięźliwości i w ściśniętej kolumnie pomaszerowała ku domowi zajezdnemu, zwanemu *Wisconsin House*. Tam zbombardowała wszystkie szklanki i flaszki, zdemontowała wszystkie beczki z piwem, winem i wódką stojące, wytoczywszy napoje na ulicę. Ztamtąd udała sią do innej szynkowni i ani właściciel tej szynkowni był by zrewoltowane kobiety powstrzymać mógł od dalszego spustoszenia groźbą, iż z wymierzonej strzelby da ognia, gdyby nie mer miasta był z wojskiem nadbiegł i nie odczytał był prawa o rozruchach, ogłaszając zarazem miasto w stanie oblężenia. Dopiero wtedy waleczne wojowniki odstąpili od swych dalszych zamysłów, oświadczając, iż skoro ich mężowie znowu by trunków używać poczęli, pomimo prawa o rozruchach dalej poniszczą wszystkie szynki.

* W Paryżu teatra w wszelki sposób korzystają z kwestyi oryentalnej. Co dzień pojawiają się nowe sztuki, których osnowa dotyka tej sprawy. W teatrze Porte St. Martin dawać mają wielki dramat pod tytułem: *Szamil*. Akcya odbywa się pod Redout-Kaleh. Otóż jeden z aktorów, p. Valny, pobierający od dawna pensyą od rossyjskiego rządu, nie chcąc utracić tej pensyi, nie chce przyjąć roli kapitana rosyjskiego, który śmieszną bardzo pozycyą przebywa w tej sztuce. Dyrekcya zapozwała pana Valny przed sąd właściwy.

* Dom gry w Hamburgu świetną w tym roku ma porę, Hrabina Kisielew jest bohatyrką w trente et quarante. Niedawno dotknęło tę panią nieszczęście familijne, w skutek którego uczyniła ślub, nie grać tego roku. Lecz niedługo wytrwała w tem przedsięwzięciu. Slubu uczynionego pozornie dotrzymując, sadzała dwunastoletniego syna do pointowania i kierowała jego operacyami. Teraz rok ten minął. Matka gra znowu sama, lecz i syn jej — również.

* **Wszędzie jest złoto.** Dowodów, iż na całej kuli ziemskiej znajduje się złoto, nie brak wcale, a najciekawszy podał chemik menniczego urzędu w Paryżu pan de Sage. Drzewa i krzewy a osobliwie winna latorośl ciągną z ziemi soki pożywne, które przechodzą w pień i korę. Spaliwszy winną latorośl, aż w końcu tylko gruda popiołu zostanie, i wystawiwszy ten popiół na chemiczne reagencye, uzyskać można złoto. To złoto więc było w ziemi, która roślinę żywiła. Profesor Sage tym sposobom taką ilość złota uzyskał, iż z niego pięć dwudziestofrankówek wybić kazał. Jednakowo to doświadczenie naukowe posłużyć nie może do przedsiębiorstw przemysłowych, bo koszta tak są wielkie, iż jedna dwudziestofrankówka kosztowała 120 franków.

Znaczenie poprzednich szarad: **Kościoł, Kocioł, Kość, Ość, Oś, Osioł.**

Szarady.

1. Ma pierwsza: zgłoska z dwóch liter złożona,
Druga: produktem wszech sfer południowych,
Razem: stolicą murem obwiedzioną,
W Polszcze: wyrocznią dla pań salonowych.

2. Gdy z serca dajesz, to, co wprost wyczytasz,
Przyjmę! A jak? czytaj wspak, jeźli o to pytasz.

3. Ma pierwsza milczeć każe, drugą poufale,
Mówię do cię w przyjaźni, lub uczuć zapale,
Wszystko jest potrzeba dla ludzkiego ciała,
Chociaż wprost z nas nikomu natura nie dała.

Przyjechali od dnia 7. do 9. lipca do Lwowa:

PP. Zaremba Bolesław, ze Stanisławowa. Dzieduszycki Włodzimierz, hr. z Jarosławia. Kędzierski Juliusz, z Kuchajowa. Malinowski Stanisław z Horożanki. Fredro Henryk, hr. z Dubanowic.

PP. Karnicki Feliks, hr. z Rogużna. Augustyn Józef, z Buczacza. Gorzycki Wincenty, z Pohorylca. Bogusz Adam, z Bortnik. Krasiński Piotr, hr. z Rohatyna. Malczewski Antoni, z Kozłowa. Wolański Franciszek, z Lubienia.

PP. Doliniański Seweryn, bar. z Dolinian. Hausner Otto, z Rajtarowic. Rudeński Emilian, z Kiernicy. Niezabitowski Napoleon, z Nakła. Ladomirski Brutus, z Wierzchni. Baworowski Mikołaj, hr. z Krakowa.

Wyjechali od dnia 7. do 9. lipca ze Lwowa:

PP. Niezabitowski Napoleon, do Nakła. Jędrzejowicz Edward, do Czapel. Cywiński Karol, do Brzeżan. Turkuł Juliusz, do Zelechowa. Jaruntowski Jan, do Złoczowa. Kunaszowski Roman, do Tomaszowic.

PP. Hofmann Kornel, do Przemyśla. Wolański Franciszek, do Lubienia. Jabłonowska Eleonora, księżna do Krakowa. Kalinowski Władysław, hr. do Bakowic. Czerkawski Michał, do Żółkwi. Cywiński Franciszek, do Delejowa. Dzieduszycki Zygmunt, hr. do Złoczowa.

PP. Poniński Wincenty, do Krakowa. Puzyna Romuald, do Stryja. Dzieduszycki Włodzimierz, hr. do Bartałowa. Siemiński Wilhelm, hr. do Bartatowa. Mniszek Jerzy, hr. do Krakowa. Karnicki Feliks, hr. do Rogużna. Rozwadowski Franciszek, do Brzeżan. Chrzanowski Ignacy, do Lubienia.

Dzisiejszy. **Kurs lwowski.**	Gotówka				towarem.			
Dukat holenderski	złr.	6	kr.	5	złr.	6	kr.	10.
Dukat cesarski	„	6	„	9	„	6	„	12.
Półimperyał zł. rosyjski	„	10	„	37	„	10	„	42.
Rubel srebrny rosyjski	„	2	„	3	„	2	„	4.
Talar pruski	„	1	„	57	„	1	„	58.
Polski kurant i pięciozłotówka	„	1	„	30	„	1	„	31.
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr.	„	92	„	50	„	93	„	10.

Kurs telegrafowany z Wiednia wczoraj 2 g. popołud.

Amszterdam	$108\frac{1}{2}$.	Marsylia	—.
Augsburg za 100 złr.	$130\frac{1}{4}$.	Medyolan za 300 lirów	$128\frac{1}{4}$.
Bukareszt	—.	Paryż za 300 franków	$152\frac{1}{2}$.
Frankfurt za 120 złr. podług $24\frac{1}{2}$ stopy	129.	Agio duk. ces.	—
Genua	—.	Srebra agio	32.
Hamburg za 100 tal. banco.	96.	Pożyczka 5% $85\frac{7}{8}$. $4\frac{1}{2}$	$75\frac{3}{16}$.
Konstantynopol	$36\frac{1}{4}$.	Pożyczka lit. B.	–
Liwurno	—.	Akcye banku	1260.
Londyn za 1 funt szterl.	12. 39.	Kolej północna	1714.
		Obl. ind. 5%.	—

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**

Do dzisiejszego Nru. dołączone jest doniesienie „Volksbibliothek der Meisterwerke unserer deutschen Literatur."